

# Anne Edwards: \* Maria Callas. Primadonna stulecia \* czyli jakie rachunki wystawiają bogowie

*Ta śpiewaczka grecko-włoska,  
"La Divina", czyli "Boska",  
o syrenim głosie,  
o niezwykłym losie,  
Medea, Aida, Tosca.*

(ebs)

*"E, si, tutto è santo, ma la santità insieme maledizione, gli dei qui amano, ma tempo stesso odiano." - "O, tak, wszystko jest święte, ale świętość to także przekleństwo, bogowie, którzy kochają, w tym samym momencie nienawidzą." (słowa Centaura w filmie "Medea").*

Gdy w latach 50. zeszłego wieku święciła triumfy na światowych scenach oper, byłam dzieckiem i nie miałam pojęcia o jej istnieniu. Gdy na ostatnich, plotkarskich stronach "Przekroju" i "Kobiety i życia" - od "zawsze" u mnie w domu - pojawiały się wzmianki o jej romansie z "najbogatszym człowiekiem świata", greckim krezusem Arystotelesem Onassisem, a potem o jego występnej zdradzie z "najbardziej pożądaną wdową świata", Jackie Kennedy, byłam podlotkiem i nie rozumiałam jeszcze wielkich namiętności wielkich tego świata.

Dopiero gdy w roku 1969 filmowe pisma zaczęły się rozpisywać o jej tytułowej roli w filmie Piera Paola Pasoliniego "Medea", a ja już znałam jego "Króla Edypa", zwróciłam uwagę na Marię Callas i gdy tylko film pojawił się w Polsce, popędziłam do kina.

Miałam wtedy 15/16 lat i moje zainteresowania zaczynały się już zdecydowanie krystalizować: nie było wśród nich opery! Książki, teatr, filmy, to tak, Marię Callas zainteresowałam się jako aktorką, gwiazdą filmu. Od zarania kochałam kino, od 11 roku życia zbierałam zdjęcia aktorek i aktorów filmowych, od "Heleny Trojańskiej", włoskiego filmu z 1956 roku z Rossaną Podestą, który obejrzałam pierwszy raz w wieku ok. 10 lat, czyli w 1963/4 roku, czekałam na filmy, których treścią były mity greckie, które znałam od małości, jako że mama opowiadała mi je do snu obok bajek, i które uwielbiałam.

"Król Edyp" był cokolwiek za poważny, odstawał od zwykłych komercyjnych produkcji Cinecity, odstawał *in plus*, co dotarło do mnie trochę później, wtedy nie umiałam tego jeszcze docenić. Niemniej niecierpliwie czekałam na "Medeę". I pamiętam, że zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Niestety, przykre. A więc to była ta legendarna Maria Callas? I to była ta mitologiczna Medea? Tragiczka Callas i tragedia Medei w dramatycznej ekspresji Pasoliniego! To było za wiele jak na moją młodą duszę. Nie obejrzałam filmu ponownie, jak zdarzało mi się to z moimi ulubionymi filmami, które często oglądałam raz za razem, nawet kilkakrotnie, lecz nie "Medeę".

Nie pokochałam też nigdy opery tak jak kocham kino i teatr, choć zdarzało mi się zachwycić niektórymi operowymi widowiskami na scenie Opery Zuryskiej, głównie za sprawą mojej teściowej, która regularnie zapraszała swoje (dorosłe już) dzieci (+ mnie, żonę jedynego z ożenionych trzech synów) na "wieczory operowe" połączone z uroczystą kolacją po spektaklu, prezentu urodzinowego dla któregoś z nas, więc całość miała posmak odświętny, stąd i lubienie opery (mój mąż miał jeszcze dwie siostry, w czasach, o których opowiadam, obie były niezamężne, razem była nas szóstka i w kółko mieliśmy urodziny).

Ale nawet gdybym znacznie wcześniej rozsmakowała się w operach, nie miałabym szans posłuchać Marii Callas na żadnej z operowych scen, bo jej ostatni udział w operze miał miejsce 5 lipca 1965 roku w londyńskim Covent Garden, a ja byłam wtedy polskim dzieckiem odległym o eony w przestrzeni, czasie i hierarchii społecznej od tego

wydarzenia. La Callas po raz ostatni wcieliła się wtedy w rolę Toski, na widowni zasiedli królowa Elżbieta II, księżę Filip i Queen Mum...

Również jej ostatnie publiczne koncerty były daleko poza moim zasięgiem: ostatnie tournée Callas wraz z włoskim tenorem Giuseppe Di Stefano obejmowało czas od jesieni 1973 do historycznego ostatniego występu 11 listopada 1974 roku w japońskim Sapporo. Choć od 4 sierpnia 1974 roku byłam w Zurichu, w trasie koncertowej Callas nie było Szwajcarii, choćbym i chciała jej posłuchać. W ogóle rzadko występowała w Szwajcarii (była bodaj tylko raz w Zuryjskiej Operze). W Polsce nie zaśpiewała nigdy. I tylko Lucjan Kydryński z wielką atencją wspominał ją czasami w którymś ze swoich muzycznych programów.

Nigdy też bym nie przypuszczała, że te moje bardzo już odległe wspomnienia malutkich fotografii podłej jakości z "Przekroju" czy "Kobiety i Życia" z tak zwanej szumnie "kroniki towarzyskiej", czyli "Plotek o Paniach i Panach", wypełnią się kiedyś treścią opasłej biografii "primadonny stulecia". A jednak! Anne Edwards napisała 400 bez mała stron o życiu "Boskiej Callas" i ja przerobiłam jej życiorys z rosnącym zainteresowaniem. Callas funkcjonowała w mojej pamięci jako mem kulturowy. Głęboko wryty, ale płytko znany.

Po przeczytaniu biografii i - dzięki współczesnej mi technologii - zilustrowaniu jej sobie zdjęciami i filmami dostępnymi w necie (w tym "Medei"), mogę powiedzieć tylko jedno: nie wiedziałam o prawdziwej Marii Callas nic poza docierającymi do mnie wielokrotnie przepłukanymi medialnymi quasifaktami produkowanymi tonami na użytek prasy bulwarowej, sam chłam.

Czy Anne Edwards stworzyła wierny diwie obraz, też nie wiadomo, to już tyle lat... Ale czytając ma się wrażenie, że biografka wykonała sumienną, drobiazgową robotę wolną od zachłystywania się skandalami i plotkami. Maria Callas Anny Edwards jest postacią żywą, po ludzku złożoną i prawdziwą, co zresztą nic nie ujmuje jej boskiemu talentowi.

<https://www.youtube.com/watch?v=I4cSVnqGmOc>

Powiem tak, bo tak mi się skojarzyło: fenomen "Maria Callas" ma w sobie coś z lotniczej katastrofy, niby lot przebiega elegancko w tym doskonałym technicznie urządzeniu, jakim jest nowoczesny samolot, a jednak kilka nakładających się na siebie drobnych błędów może spowodować przedwczesne roztrzaskanie się zamiast miękkiego lądowania u celu. Lot Callas jest już zamknięty w czasie przeszłym dokonany, wszyscy już wiemy, jak był wysoki i jakie niedościgłe kręgi zataczał... a że skończył się szybko i tragicznie?

Callas była Greczynką, inny Grek podsumowałby: "jaka piękna katastrofa". A jednak była niepiękna. Tylko czy mogła być inna? A może już w starcie zapisany był koniec? Czy "ulubieniec bogów" może liczyć na "zwyczajny ludzki los"? Na zwyczajny ludzki koniec? Czy posiadaczka boskiego głosu, ba, Głosu, La Voce, sama zwana Boską, La Diviną, mogła tak zwyczajnie dożyć spokojnej starości? Callas-staruszka? Skurczona? Drepcząca o laseczce ulicami Paryża? Ledwie chrypiąca? Nikomu nieznana? Od lat niebędąca obiektem zainteresowań paparazzich?

Nie dożyła, więc nie mogła, już o to zadbali bogowie. I zadbali o to, żeby tajemnica jej śmierci przepadła wraz z "czarną skrzynką z ostatnimi zapisami", z niewielką skrzyneczką, w której jej prochy trafiły w końcu do Grecji i rozwiały się nad Morzem Egejskim, świadkiem jej miłości do innego greckiego wybrańca bogów, który ją tak paskudnie zdradził, jeszcze paskudniej, niż ona swojego ślubnego włoskiego męża związanego z nią świętym słowem do samej śmierci a nawet i popośmiertnie.

Centaur w "Medei" Pasoliniego mówi przecież: *"O, tak, wszystko jest święte, ale świętość to także przekleństwo, bogowie, którzy kochają, w tym samym momencie nienawidzą"*.

<https://www.youtube.com/watch?v=u2ab-I-RXSU>

Maria, a właściwie Marija, bo tak cały świat poza Polską wymawia jej imię, przyszła na świat w cieniu rodzinnego dramatu. Drugie dziecko jej rodziców, chłopczyk o imieniu Vassilios, ukochany i utalentowany - jako trzylatek umiał czytać a także grać ze słuchu dziecięcą melodię na fortepianie mamy - niestety, zachorował na tyfus i w niespełna tydzień zmarł. Rodzina pogrzyżała się w żałobie. Jednak wkrótce okazało się, że jest już kolejne dziecko w drodze, dla przyszłych rodziców magiczny znak, że będzie to następca zmarłego synka, z pewnością chłopiec.

Tymczasem para wraz z córeczką Hiakintą płynęła do Ameryki. Tym sposobem dziecko urodziło się już w Ameryce już jako Amerykanin. To znaczy Amerykanka. Bo chłopiec okazał się być dziewczynką, Mariją. Matka nie chciała na nią nawet spojrzeć. W ogóle była to matka-cholera. Generalska córka cała w pretensjach do losu miała żal o nie dość majątnego męża i emigrancką tułaczkę, co odbijała sobie na córkach. Jednak gdy odkryła, że starsza ładnie gra na fortepianie, a młodsza ma piękny głos, wszystkie swoje niespełnione ambicje przelała na dziewczynki.

A była na tyle zawzięta i przedsiębiorcza, że postanowiła sama, bez męża, opuścić Amerykę, wrócić do Grecji i tu zrobić ze swoich córek prawdziwe gwiazdy. Obiecała, że wróci. Miało minąć wiele lat, zanim jej stopa ponownie stanęła na amerykańskim kontynencie. W międzyczasie w Europie wydarzyła się II wojna światowa.

W ponurych wojennych Atenach Maria stawała się kobietą i śpiewaczką. Była zbyt duża, zbyt ciężka, uważała się za brzydką i nieatrakcyjną, ale jej głos zachwycał wszystkich, którzy mieli okazję go usłyszeć. Zaraz po wojnie postanowiła ruszyć za swoim przeznaczeniem, w przeciwieństwie do swojej matki i siostry miała przecież amerykańskie a nie greckie obywatelstwo. W Pireusie weszła na statek jako Μαρία Καλογεροπούλου, Maria Kalogeropoulou, w Nowym Jorku wysiadła jako Maria Callas, bo na nazwisko Callas jej ojciec zamerykanizował swoje greckie nazwisko i takie jego córka miała w swoim amerykańskim paszporcie.

Dwa lata później wróciła do Europy i zamieszkała w ojczyźnie opery, we Włoszech. Tu poznała swojego przyszłego męża, dużo od niej starszego, dużo niższego, ale znacznie bogatszego, wspomagającego ją w drodze do szczytu kariery włoskiego przedsiębiorcę budowlanego z ciągotami do życia artystycznego. A ona temu właśnie celowi podporządkowywała wszystko. Była oddana swojemu śpiewaniu jak kapłan swojej religii, uważała się za strażniczkę bożego daru: *"Głos Marii obejmował pełne trzy oktawy, od fis małego po e trzykreślne - ogromny zasięg jak na sopran dramatyczny, którym zasadniczo była /.../ Callas potrafiła utrzymać trzykreślne c, d i e, umiejscawiano ją w sferze sopranu koloraturowego. /.../ jej głos był jedyny w swoim rodzaju, uderzający"* - pisze Anne Edwards.

Do pozycji gwiazdy brakowało jej tylko odpowiedniego wizerunku. I wtedy zobaczyła film "Rzymskie wakacje" z wiotką Audrey Hepburn, aktorką o sarnich oczach uwodzącą Gregory'ego Pecka. Rok 1953, 30. rok swojego życia, Maria poświęciła na transformację doskonałą, z niezgrabnej dziewczyny stała się smukłą kobietą, z poczwarliwym motylem, gwiazdą i królową, mogła równać się z ulubienicą wszystkich, prześliczną odtwórczynią oskarowej księżniczki, Audrey. Talent i legendarny profesjonalizm stały się przepustką do międzynarodowej socjety.

Rodzina jej męża nigdy jej nie zaakceptowała, nazywała ją pogardliwie "tą śpiewaczką". Ale to zarobionymi przez nią pieniędzmi mąż teraz dofinansowywał rodzinną firmę. Role się odwróciły. Jeszcze większy dystans zrobił się, gdy Marię zaczęli zapraszać do swojego grona ci z najwyższej półki.

Carlo Maria Giulini, jeden z dyrygentów, z którymi pracowała, podsumowywał: *"Ona była il melodramma: prawdziwą spójnią słowa, muzyki i gry scenicznej /.../ Posiadała zdumiewającą zdolność skupiania uwagi publiczności, nawet gdy stała bez ruchu."* Wszystkich zachwycała wszechstronność Callas, jej głos, zdolności aktorskie oraz fizyczny powab. Dla kolorowej prasy żer na młyn.

I choć zarówno z mediolańską *La Scalą*, jak i nowojorską *Metropolitan Opera* darła koty, w końcu to ona zwyciężała. Goszczenie "najwybitniejszej śpiewaczki operowej świata" było zaszczytem dla każdej sceny, nawet tych, które pierwotnie nie chciały podpisać z nią umów. Przyłgnał do niej przydomek "Boskiej", "La Diviny", jak kiedyś do legendarnej aktorki Sarah Bernhardt.

Była u szczytu sławy, greckie pochodzenie, włoski adres, amerykańskie obywatelstwo, biegła znajomość tych trzech języków, a także francuskiego, oraz - jeszcze z czasów wojny - niemieckiego, w każdym calu artystka światowego formatu.

<https://www.youtube.com/watch?v=69pxWVjlbNo>

I wtedy poznała Aristotelesa Sokratesa Homera Onassisa, przez bliskich zwanego Ari. Ona była najsłynniejszą Greczynką świata, on, najsłynniejszym Grekiem. Mąż Callas z całą jego zadufaną rodziną to była mała płotka przy tym rekinie-żarłaczku wszech mórz. Przepadła Maria, przepadł i jej mąż. Maria się zakochała. Po raz pierwszy (i ostatni) w życiu. Mąż poszedł w odstawkę. Nic nie pomogło, ani fakt, że w katolickich Włoszech nie było rozwodów, ani fakt, że Onassis miał już żonę a z nią dzieci i nie zamierzał tego zmieniać. Bogowie pisali swój scenariusz.

Wielka grecka artystka i wielki grecki finansista, "Syrena i Odys". Wydawać by się mogło, że para ta była sobie przeznaczona raz na zawsze. Onassis, o ile nie latał swoim prywatnym samolotem, poruszał się po świecie pływającym pałacem, jachtem "Christiną O.", złote armatury i te rzeczy. Zaproszenia na jacht odbierali wybrańcy. Na czele małżeństwo Churchillów, gdyż to nie bogactwo, którego miał pod dostatkiem, ale władza, której nie miał dość, najbardziej imponowały Onassisowi.

Na razie odbywali "łodzią miłości" rejsy po Morzu Śródziemnym, tylko zakochani w otoczce śmietanki towarzyskiej... i 60 osób załogi. Za nimi tabuny paparazzich. To właśnie te ich zdjęcia wraz z "najświeższymi wiadomościami ze świata kultury" trafiały również do kronik towarzyskich polskich pism a z nich do mojej głowy i wypalały mi się w pamięci w formie memów, które przecież poza tym nic dla mnie nie znaczyły: Onassis kocha Callas, Callas szaleje za Onassisem, Onassis zdradza Callas, Callas cierpi, Onassis kupuje wyspę, Callas leje łzy, Onassis poślubia na swojej wyspie wdowę po prezydencie USA, Callas zaprzysięga zemstę... no, grecka tragedia.

<https://www.youtube.com/watch?v=kQwnj9NEZ8I>

Ćwierć wieku później i ja przeżeglowywałam Morze Śródziemne na jachciku o greckim imieniu "Argo" (co znaczy "Szybki", to nazwa mitycznej łodzi argonautów) tak długim, jak szeroka była "Christina". Kapitanem był mój mąż-żeglarz, ja - jako co-captain, załogą nasz pies Parys. W którymś z portów trafiliśmy na śnieżnobiałą "Christinę O." Nie żył już wtedy ani jej właściciel (\*15.1.1906 †15.3.1975), ani jego zmarła w tajemniczych okolicznościach córka (\*11.12.1950 †19.11.1988), której imieniem nazwał swój jacht, ani tym bardziej jego syn Alexander (\*30.4.1948 †23.1.1973), który zginął w wypadku lotniczym przed ojcem, co ojcu odebrało chęć do życia, ani diva Callas (\*2.12.1923 †16.9.1977), tak haniebnie zdradzona, ani też ta, którą Onassis dla niej puścił kantem, Athina (\*19.3.1929 †10.10.1974), matka zmarłego tragicznie syna zabrana przez śmierć zaraz po nim w wieku 45 lat.

Nie żyła też ich przyjaciółka księżna Grazia Patrizia (\*12.11.1929 †14.9.1982), władczyni miniaturowego śródziemnomorskiego księstwa, o który jej mąż książę Rainier (†6.4.2005) pożarł się z greckim armatorem na amen i odtąd dumna "Christina" musiała omijać nieprzyjazny port a Callas kolegować się z Grace pokątnie. Niepowstrzymany czas jak głęboka woda zatopił wszystko i myśmy tam wpłynęli w pewien piękny pogodny dzień zaskoczeni, że Monaco z morza wygląda jak Nowy Jork ze swoimi "drapaczami chmur" nagromadzonymi na przestrzeni tak maleńkiej, jak wielka była prywatna wyspa Onassisa, Skorprios, tylko dla niego samego i jego niewielkiego dworu, któremu królował.

Bo jego rachuby, że poślubiając Jackie Kennedy wejdzie do wielkiej polityki, szybko okazały się chybione, podkupiony przez niego Bobby Kennedy (\*20.11.1925 †6.6.1968) zginął w zamachu jeszcze przed ślubem, w rodzinie Kennedych traktowano go jak taniego "żigolaka z tancbudą" i z wyższością nazywano "tym Grekiem", zupełnie jak kiedyś rodzina męża Callas jego żonę "tą śpiewaczką".

Zanim umarł, Jackie zdążyła od niego w atmosferze medialnego skandalu odejść, ale że formalnie nie było

orzeczenia o rozwodzie, została "najbogatszą wdową świata" i długo jeszcze procesowała się o schedę z córką Christiną w końcu zadowolając się 125 milionami dolarów na krótko przed śmiercią Christiny w wieku 38 lat. Ona sama nie dożyła 65. roku życia, pokonał ją rak (†19.5.1994). Miała szczęście, bo nie dożyła też kraksy samolotu syna Johna-Johna, w której zginął - zupełnie jak jego przyrodnia siostra Christina w wieku 38 lat (†16.7.1999) - razem z młodą blond-żoną i jej siostrą zaledwie 4 lata po śmierci matki.

Jackie, przez prasę zwana "Jackie O.", o znacznie pospolitszej urodzie niż Maria Callas i bez jej boskiego talentu, do historii przeszła jako "femme fatale" w słodkim Pink Suit, różowym kostiumiku, od Chanel & Chez Ninon 1961, który miała na sobie 22 listopada 1963 roku, w feralny dzień śmierci męża-prezydenta, "kobięciarza", jak o nim z "należytych mu" szacunkiem mówiono, w przeciwieństwie do mniej szanowanego "dziwkarza" Onassisa, którego poślubiła 5 lat później.

W książce o Marii Callas, w chwili gdy razem z nią wkraczamy na trap "Christiny O.", zaglądamy również w sam środek wielkich interesów, wielkiej polityki i wielkich manipulacji z woli ludzi powodujących światem, którymi kręcą bawiący się ludzkimi losami bogowie od samej starożytności, zupełnie jak opisywali to wielcy greccy dramaturdzy, jakbyśmy czytali o losach czarodziejki Medei, królewskiej córki, kapłanki bogini Hekate, wnuczki boga słońca Heliosa, nieszczęsnej żony wiarołomnego Jazona (tego, od "Argo" i wyprawy argonautów po "złote runo"), tragicznej dzieciobójczyni, w którą z takim wycuciem wcielała się "boska Callas", sama będąc uosobieniem słów półludzkiego, półboskiego Kentaura: *"O, tak, wszystko jest święte, ale świętość to także przekleństwo, bogowie, którzy kochają, w tym samym momencie nienawidzą"*.

\*

**Anne Edwards, "Maria Callas. Primadonna stulecia", tł. Mieczysław Godyń, wyd. Znak, Kraków, 7 września 2015**

\*

Zasadniczo miałabym trzy techniczne uwagi. Do autorki, która rozpisuje się, jak to w okupowanych Atenach Maria i jej matka dbały o swoje trzy kanarki, aż jeden z nich zginął trafiony przez okno przez zabłąkaną kulę snajpera a one wpadły w rozpacz. Niedługo potem obie potajemnie opuściły mieszkanie będące pod obstrzałem, ale autorka już nic nie wspomina o pozostałych dwóch kanarkach. Co się nimi stało? Przecież ich nie zostawiły na pewną śmierć głodową? Czytelnika nie zostawia się w takiej niepewności. Do tłumacza: na str. 85 jest błąd w dacie, statek s/s "Rossija" z Marią Callas na pokładzie musiał przybyć do Neapolu w 1947 roku 29 czerwca (June) a nie lipca (July), skoro czekano na dyrygenta Tullia Serafina, którego dopiero spodziewano się 20 lipca. Do wydawcy: zauważyłam kilka literówek, choć niewiele jak na tak grubą książkę.